Tom XIX. Nr. 12.

21. październik-nika 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Andrzej Apostoł.

Święty Andrzej, jeden z dwunastu Apostołów, urodził się w Ziemi świętej, w wiosce Betsaidzie, często wspominanej w piśmie świętem, bo tam przebywał Zbawiciel świata, Jezus Chrystus i tam głosił najświętszą swoją naukę. Święty Andrzej pochodził z ubogiej rodziny rybackiej. Ojciec jego imieniem Jonasz był rybakiem, i brat jego Szymon także trudnił się tem rzemiosłem. Później gdy święty Jan Chrzciciel zaczął prostować ścieżki pańskie i zapowiadać przyjście Zbawiciela, Andrzej został jego uczniem i towarzyszem. Aż pewnego razu gdy Jezus chodził nad morzem galilejskiem, ujrzał obu braci, Szymona (nazwanego później Piotrem) i Andrzeja, którzy właśnie zapuszczali sieć w morze i rzekł do nich: Pójdźcie za mną a uczynię was rybitwami ludzi. Usłyszawszy to bracia opuścili sieci i poszli za Chrystusem. Od tej chwili stali się nieodstępnymi Zbawiciela towarzyszami i zostali później wybrani na Apostołów.

Gdy po śmierci Zbawiciela i cudownem zesłaniu Ducha świętego Apostołowie napełnieni nadziemską mądrością i obdarzeni mocą czynienia cudów, rozeszli się po wszystkich krajach świata dla opowiadania nauki ewangielii, Andrzej święty poszedł także daleko po za granice ziemi ojczystej, aby pogan nauczać i nawracać. W dalekich pielgrzymkach swoich zwiedził wiele, bardzo wiele krajów zamieszkałych jeszcze przez ludy wpół dzikie, wiele tysięcy pogan do wiary prawdziwej nawrócił i ochrzcił w imię boskiego swego nauczyciela, Jezusa Chrystusa. W odwiecznych księgach, w których spisana jest starożytna historya kraju ruskiego, można się doczytać, że święty Andrzej był nawet w Kijowie, mieście bardzo dawnem na Rusi i tu pierwszy zaszczepił wiarę Chrystusową. Nie koniec na tem. Andrzej święty szerząc światło ewangielii dotarł aż do ujścia rzeki Dniepru i do granic naszego kraju. Gdzie zresztą był, nie można wiedzieć z pewnością, bo wówczas jeszcze nauka pisania mało była znaną, toż historyi dokładnej owych czasów nie mamy; ale jak daleko pielgrzymował widać i ztąd, że Szkoci, lud mieszkający daleko za morzem, utrzymują, że święty ten Apostoł był także i u nich; uważają go za swego patrona i chlubią się posiadaniem jego relikwi.

W końcu udał się do Grecyi i tam odebrał nagrodę za swoje trudy, bo Bóg pozwolił mu ponieść śmierć męczeńską za wiarę, a tem samem stwierdzić prawdziwość tych nauk, które głosił. Andrzej święty został ukrzyżowany na poprzecznym krzyżu, zbitym z dwóch desek.

Tam gdzie śmierć poniósł tam też został pochowany i dopiero w 357 roku po narodzeniu Chrystusa Pana przeniesiono z należną czcią ciało świętego męczennika do miasta Konstantynopola i tam je złożono w kościele Apostołów niedawno przez Cesarza Konstantyna świętego wystawionym. Po pewnym lat przeciągu zabrano znowu relikwie św. Andrzeja z Konstantynopola i powieziono do kraju włoskiego. Tu umieszczone zostały w mieście Amolfi, w wspaniałym kościele katedralnym i tu znajdują się do dnia dzisiejszego; lecz i w kilku innych kościołach w kraju włoskim przechowują także cząstki tych relikwi.

Do Anioła Stróża.

I w domu, jakby w kościele,
Nie opuszszczaj mnie, Aniele!
Czuwaj, czuwaj przy mym boku,
Nie odstępuj ani kroku,
I zasłaniaj ode złego
Cieniami skrzydła swojego.

Kiedy zdrowo wstanę zrana,
I powitam pieniem Pana,
I pospieszę do roboty;
Dodawajże mi ochoty:
Nie opuszczaj mnie na chwilę;
Bo nie ufam własnej sile.

Kiedy każe wyrok Boski
Znosić smutki, znosić troski,
Stań Aniele! bo przy Tobie
Bardziej jakoś ufam sobie:
Ty mnie ręką swoją wspieraj,
Ty mi z czoła pot ocieraj.

Nie opuszczaj mnie, Aniele!
Gdy się z światem tym rozdzielę.
Smutno odstać od tej ziemi,
Pożegnać się ze swojemi;
Choć piękna droga do Nieba;
Twej pomocy jednak trzeba.

Do Matki Boskiej.

W źródle woda nieprzebrana,
A Tyś Matko ukochana!
Nieprzebrana w swej dobroci,
Twa nam szata pola złoci;
Kiedy nieco się odwinie,
To nam z Nieba światło płynie.

Gdy spragniona kmiotków niwa,
Łezka Twoja nam przybywa,
A w niej cuda nad cudami,
Że nie możem pojąć sami,
Żyzni ziarnko łezka z Nieba,
Niewidzialnie dajesz chleba.

Twoja, Pani! świeci zorza,
Płyną łaski jakby z morza,
Płyną, płyną nieskończenie,
Cuda głosi ptasząt pienie.
My nasz głos łączymy z niemi,
Niech Ci będzie cześć na ziemi!

Niech Cię nasz głos uweseli.
Nie umiemy jak anieli;
Lecz gdy się wzniesie z pokorą,
Aniolowie go odbiorą,
Radość w oku Ci zaświeci,
Boś Ty matka, a my dzieci!

Włościanie polscy
za panowania królów z rodu Piastów.

Za panowania Piastów cieszyła się wolnością osobistą cała ludność polska nie wyłączając kmieci. Tylko nieliczna stosunkowo część ludności rolnej, powstała z jeńców wojennych osadzonych na roli, była niewolną. Osadzanie na gruncie

czynszowych dzierżawców, wydzielanie jedno lub kilkołanowych parceli na własność dziedziczną, zakładanie sołtystw i wójtostw, wszystko to przymnażało Polsce wolnych obywateli, drobnych właścicieli ziemskich, podczas kiedy potrzeba jak najwięcej rąk do obrony kraju, zewsząd i ciągle zagrożonego, nadawała każdemu wolnemu dziedzicowi, choćby najmniejszego kawałka ziemi, wolność noszenia broni, wkładała nań owszem obowiązek służby rycerskiej.

Nie wszystkich włościan w Polsce jednakowy był początek i też nie wszyscy włościanie polscy w czasach królów Piastów jednakowe posiadali prawo i nie na wszystkich jednakowe ciężyły obowiązki.

Rozróżniano tedy najprzód włościan z dziada, pradziada na roli osiadłych. Byli to właściwi kmiecie. Wolni co do osoby, byli oni zarazem dziedzicami swoich zagonów, mogli je przekazywać potomstwu, lub przedawać, byle tylko nie pozostawili gruntu odłogiem leżącego. Umierający bezdzietnie kmieć, mógł zapisać swój majątek żonie, kościołowi lub komukolwiek innemu. W razie jeżeli po bezdzietnie zmarłym kmieciu nie pozostawał żaden zapis, tedy wdowa zabierała co w dom męża wniosła, reszta zaś stawała się puścizną, do której mieli prawo bliżsi lub dalsi krewni zmarłego. Sądzili się przed urzędami królów i książąt, zanosili skargi nawet wprost do króla i sami panujący zastrzegali sobie prawo rozpoznawania spraw spadkowych kmieci. Powinności ich były dla kraju i dla rządu większe, dla panów mniejsze. Za Bolesława Chrobrego kmieć z łanu każdego winien był dostarczać corocznie pewną miarę ziarna na wyżywienie wojska po zamkach, co nazywano stróżą; był obowiązany do robót publicznych a prócz tego pełnił powinności nadzwyczajne, jako to: pomocne, naprawa dróg, podwody, budowa zamków, pogoń czyli ściganie złoczyńców, podejmowanie urzędników, myśliwców, psów i sokołów królewskich. Panu był obowiązany zwykle tylko do służb, już to ze starodawnego zwyczaju, już też z umowy wynikających; bywały to albo robocizny, albo opłaty i daniny w miodzie, ospach, drobiu i innych rzeczach.

Pośledniejsze po kmieciach miejsce zajmowali włościanie niewolni, lud służebny, poddańczy. Powstali oni dopiero po zaprowadzeniu chrześciaństwa, gdyż pierwej poddaństwa nie znano, i składali się już to z jeńców wojennych na roli osadzonych, już też z kupionych niewolników. Jakkolwiek wolność ich była daleko więcej ograniczoną niż kmieci, jakkolwiek nie posiadali dziedzicznej roli, toć jednak i ci niewolni włościanie dalecy byli jeszcze za królów Piastów od niewoli poddańczej.

Póżniej jednak pogorszył się stan włościan w Polsce i różnica pomiędzy właściwymi kmieciami a owymi niewolnymi osadnikami poczęła się zacierać powoli. Książęta (bo nie było króla jednego lecz kilku książąt panowało na małych dzielnicach) obarczali wieśniaków wielu nowemi podatkami i daninami. Panowie poczęli przywłaszczać sobie puścizny kmiece i idąc za przykładem duchowieństwa, uzyskiwali od książąt pozwolenie sądzenia swoich poddanych.

Lecz król Kazimierz Wielki, zwany królem chłopków, usunął te nadużycia. Zabronił zabierać obumarszczyzny wieśniacze i odnowił dawniejsze prawo, aby oprócz kielicha sprawionego kościołowi reszta pozostałości na krewnych przechodziła. Pozwolił włościanom w ogóle przesiedlać się mimo woli pana, byleby przesiedlający się zapłacił pewną sumę. Zbiegłego wolno było panu było poszukiwać i do tej opłaty go zniewolić, ale jeżeli przez przeciąg jednego roku uczynić to omieszkał, tracił nawet i to prawo. Kmieciom zabezpieczył prawem wolność opuszczania gruntu i pana, pod warunkiem osadzenia innego rolnika na swojem miejscu. Nakoniec w niektórych wypadkach, jakoto: jeżeliby pan dopuścił się gwałtu, albo jeżeliby włościanie za długi pana byli sądownie grabieni, pozwalał nawet wszystkim włościanom gromadnie pana swego porzucić i uwalniał ich od wszelkich obowiązków względem niego.

Byli także już w owych czasach poddani warunkowi, to jest tacy, którzy osiadali na gruncie pańskim tylko na pewne lata i pod rozmaitemi podług umowy warunkami; byli komornicy i zagrodnicy, którzy siedzieli najmem w chatach wiejskich, lub posiadali tym sposobem kmiece ogrody lub grunta. *L. T.*

STRACH MŁYŃSKI.

Każdemu wiadomo, jaka to ważna rzecz mieć paskę na Wielkanoc. Jak to pilno wtenczas każdemu o ładną mąkę choć na jedno ciasto; więc nic dziwnego, że wtenczas bywa wielki zjazd do młyna. Było to w sam wielki czwartek, jak to u nas bywa; panowie gospodarze i gospodynie spuszczają się na ostatnią godzinę, kiedy człowieka sobota już za kołnierz chwyta; tak i razu jednego w sam wielki czwartek pół wsi zjechało się do młyna, żeby choć ćwiartkę pszenicy spytlować, bo jak każdemu wiadomo, od wielkiego czwartku już tylko dwa dni do Wielkiejnocy. — A gdy się tak wszyscy zjechali, kumy i kumowie, swatowie i swachy, dziewczęta i chłopaki, każde usiadłszy na swoim worku zboża, czeka kolei do nasypu; mielnik się uwija, koła huczą, pytle turkoczą, skałeczki na kominku trzeszczą, a gromadka zebrana wtenczas się zabawia, to swataniem na przewodnią niedzielę, to uciechą bliskiego wesela, to opowiadaniem o przeszłorocznem święconem, a nareszcie gdy wieczór nadejdzie — o strachach; — bo jużciż młyn nie może być bez stracha.

Już było bardzo ludno w naszym młynie, a dobrze już się na dworze ciemno zrobiło — kiedy we drzwiach stanęła — nie strach — ale baba z workiem na plecach.

Wszyscy ją zaraz poznali — bo zaraz krzyknęli: a to nasza Mateuszowa! — Witajcież nam, witajcie! — A cóż to kumo tak późno? — gdzieżeście się tak wesolutko zabawiali, żeście się aż do wielkiego tygodnia spóźnili? — siadajcie no, a zabawcie się z nami — i my przy was się zabawimy — boć to nie daremnie nazywają was gromadzką swachą — cożeście tam słyszeli — a mąż, gdzie tam przebywa — a dzieci czy zdrowe, czy wysoko skaczą?

Tysiąc pytań do Mateuszowej, a Mateuszowa, rumiana babulka, uśmiecha się i kiwa głową na wszystkie strony, wszystkim rada, tylko temu nie rada, że się tak spóźniła, że w mieleniu będzie ostatnią, a tu pszeniczka aż się prosi — bo robota pilna.

— Ej żartujcie zdrowi — powiada Mateuszowa stawiając swój worek jak mogła najbliżej i siadając na nim — ledwiem tu przylazła, czepka mi z głowy omal nie zsadziło, tak tu markotno iść do tego młyna Na dworze chmurno, księżyc nie świeci, a od czasu jak zapamiętam to po tych drogach zawsze złe się ugania. Jak się człeka nieraz przyczepi, to go się i odżegnać nie można.

— E dajcie ta sobie pokój kumo — zawołały sąsiadki — złe dobremu nie zaszkodzi.

— Dobrze wam mówić, coście nigdy złego nie widziały, coście tylko z powiastki słuchały, jak drugim ludziom wstawały włosy na głowie, jak zimny pot występował na twarzy, a sameście nie widziały ani wilkołaka, ani zmory, ani upiora. Oj kumoszki moje, kumoszki, jeszcze wy nie wiecie tego, co to za nieszczęścia za człowiekiem chodzą! — Gdyby się wam pokazało tylko jedno straszydło, co w tym młynie mieszka, toby się wam odechciało i święconej paski — bez czepców pouciekałybyście do domu.

— Niech nas Pan Bóg broni, żebyśmy co widziały, nie wyzywajcie kumo nieszczęścia, a powiedźcie co weselszego — ot czy nie poswatacie nam kogo na przewodnią?

— O nie, nie, Mateuszowa — wołali młodsi — powiedźcie nam co o strachach! — nas tyle razem i krzyż mamy na czole — nie stanie nam się żadna przygoda! —

Mateuszowa uśmiecha się — i pokręca głową.

— Mówcie nam, mówcie, jak to straszydło wygląda?

— Straszydło nijak nie wygląda i różnie wyglądać może: ot ten worek, na którym siedzisz, zwróciła się Mateuszowa do jednej dziewczyny, to już może się strach w pszenicę przerzucił...

— E nie żartujcie — mówiła dziewczyna — ale z ukosa zaczęła spoglądać na worek i tulić się do swojej sąsiadki.

— Tak, tak serdeńko — mówiła dalej Mateuszowa — strach, to upior, przerzuca się we wszystko żywe i nieżywe, otumani człowieka, wodzi go, Bóg wie którędy, czasem go niesie ponad lasy i sioła — zaniesie go w jednej godzinie w nieznane kraje!

Obejrzała się Mateuszowa po twarzach zgromadzonych i tak dalej zaczęła prawić:

— Już ja widziała i czarne i białe; — widziałam pokutujące dusze, jak okute kajdanami błąkają się po błotach; widziałam na własne oczy jak „On“ przesusza pieniądze i płomieniem swoim goni za człowiekiem, co się kusi na jego skarby; widziałam jak na mogile wisielca siedziało ogromne czarne kocisko i trzymało zapaloną świecę w zębach, a smołę czuć było na pół mili od niego! — Raz znowu mąż mój wracał ze skrzypkami z wesela i zabawił się trochę po drodze w miasteczku, kiedy już przeszedł na nasze pola, aż tu na rozstajnej drodze stoi jakiś paniczyk kuso ubrany, i kłania się i prosi skrzypka na wesele. Ciągnie za poły i dukatami potrząsa, niema rady, trzeba słuchać, mąż idzie za paniczem, panicz go wiedzie i skacze i drogę pokazuje, i pokazuje prześliczne pałace i na dziedziniec wprowadza. A tam gości bez liku, a wszystko kuso ubrane i wszyscy takiego małego wzrostu — ot jakby ten pies na ławie. — Gra mężulko ochoczo — a wciąż gra sztajera; kusaki kręcą się jak szaleni, a co który przetańczy, to dukaty sypie do skrzypki. Mąż się cieszy, że trafił na takich paniczów, a panicze się śmieją i w ręce klaszczą koło niego.

Kilka godzin szły tany; — nareszcie jak zaczną goście kichać, aż się Mateuszowi na skrzypcach strony porwały. Nagle zdaleka dał się słyszeć głos koguta, i jak piorun strzelił, wszystko znikło, pałac zapadł się w ziemię, a Mateusz spojrzał w koło siebie i poznał że jest na skale, którą wszyscy djablą nazywają — w skrzypcach zamiast dukatów, zostały same węgle! —

Raz znowu jechaliśmy z jarmarku oboje. Noc była widna, choćby szpilki zbierać. Kiedyśmy byli niedaleko tego młyna, Mateusz wstrzymuje konie i powiada, Agnieszko, coś leży na drodze, pójdźno zdejm. Przychodzę, patrzę, — cielę! — prześliczne cielę, nogi ma sznurkiem związane, ale żywe. Łatwo się domyślić, powiada Mateusz, jechał ktoś z jarmarku i zgubił. Weź żono zgubę na sanie. — Ja podnoszę, nie mogę, cielę

cięższe od krowy. Wstaje Mateusz, dźwigamy oboje, — ledwie po długich trudach. udało nam się włożyć je pomiędzy siebie. Cielę ciężko sapie i miłosiernie spogląda to na mnie, to na Mateusza, a my radzimy sobie, że jeżli się właściciel nie zgłosi, to będzie ładny przychowek. Wjeżdżamy na podwórko, niesiemy cielę do chaty, — aż tu z cielęcia robi się — kusy — jak klaśnie w dłonie, jak się zaśmieje cha, cha, cha, jak czmychnie w komin, ażeśmy się oboje poprzewracali pod ławę.

Ale to wszystko jeszcze nic. — Raz było jeszcze gorzej. Oj, aż mi teraz mróz kości przejmuje! bo wtedy dusza była już na ramieniu. Jechaliśmy oboje z wesela. Już późno w noc było kiedyśmy dojechali do cholerycznego cmentarza. Tuż przy drodze widno zdaleka, że coś stoi, zbliżamy się — a to ogromne psisko! Nie rusza się z drogi, lecz pyta: kto jedzie? — Mateusz człowiek nie bardzo lękliwy i trochę podochocony piwkiem, odpowiada: ludzie. — Cha, cha, cha, świnie ludzie, świnie ludzie, i jednym skokiem było na cmentarzu. — Konie jak ruszą z nami, jak zaczną wierzgać i parskać, aż dym buchał. Już nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, droga niby nasza, niby nie nasza, drzewa inne i wioski nie widno, a przecież od cmentarza już nie daleko! — Ej Agnieszko, błąd się nas uczepił, co duszko robić, którędy jechać? - Jedźmy prosto, powiadam, może się nas bieda odczepi.

Jedziemy, jedziemy, zawsze niby drogą, aż nareszcie pod kołami mokro i woda pluszcze, i brzegi się podnoszą, ba patrzymy — a konie idą potokiem. Ani zawrócić, ani do góry wyjechać. — Nastawia Mateusz ucha, nadstawiamy ucha oboje — coś turkocze. Wstaje Mateusz na wozie — i z radości woła: tać to nasz młyn widno — a my jedziemy rzeczułką pod łotoki. Nuż konie smagać i do brzegu nawracać — a tu już ani ratunku! — konie ugrzęzły, koła siedzą w błocie Biegnie Mateusz do młyna, a młyn miele bez wody. Otwiera drzwi, a tam sto małp uwija się po młynie, i czarną mąką się sypie. On tam ze strachu umiera, a tu mnie z pod woza wygląda małpeczka i na drabiny się spina i woła: a to pani Mateuszowa, weselna swacha, cóż tu u nas robi? — Ja z woza, ona za mną, ja do

wody, — a tu dziesięć małp woła: „witamy, witamy, prosimy na wesele!“ Upadłam nieżywa do potoku — nie wiem co się potem stało, ale nazajutrz pubudziliśmy się z Mateuszem pod upustem, a koni z wozem — rozstąp się ziemia, — ani widno!

— Oj takie to gospodarstwo w tym młynie — gdyby nie paska, wolałabym drapać na żarnach, niż do tego pytla się zbliżać.

Opodal przy kominku słuchał tej rozmowy syn młynarza, który ze szkół na święta przyjechał. Pokręcał głową i litościwie uśmiechał się, jak rozum ludzki może w takie bajki wierzyć. — Tymczasem nasypany kosz wypróżniał się z pszeniczki i coraz głośniej kołatał.

Mateuszowa dla wytchnienia podniosła się z worka i wolno przeszła się ku drzwiom. Zaledwie na progu stanęła, przeraźliwy wydała krzyk: „Wszelki duch chwali Pana Boga!“ — i potoczyła się pod pytel.

Wszystko co żyło, porwało się we młynie i każdy z przestrachem i podziwieniem pobiegł ku drzwiom i przed młyn. — Strach młyński! — W imię Ojca i Syna! — Anioł pański — wołali wszyscy — co komu pierwszego na myśl przyszło — na widok, który zobaczyli przed sobą! — Lecz że zgromadzenie prawowiernych było tak liczne, to wszystkim dodawało odwagi, i nikt nie uciekał.

Na kilkanaście kroków od młyna stała postać biała, może na trzy sążnie wysoka. Stała nieporuszona i żadnego nie wydała głosu: „Duszo pobożna, czego żądasz? — zapytała jedna staruszka“; — lecz dusza nie rusza się i nie odpowiada. — Nareszcie student wysuwa się z pomiędzy patrzących i powiada: „Zobaczycie zaraz jak ta dusza nie potrzebuje pacierza i jak kija się boi.“ „Odezwij się duszo, bo jak ściągnę kołem po twoich szczudłach, to odrazu spadniesz i będziesz taka maleńka jak my wszyscy.“ Straszydło stoi i nie odpowiada. „Odezwij się, bo cię potłukę!“ — Straszydło zaczyna się cofać. — Student puszcza laskę za straszydłem, lecz nie zbyt mocno, by mu dać czas zeskoczyć. — Drewniane nogi straszydła zachwiały się, a tołub białą płachtą nakryty, hop na ziemię.

Wszyscy parsknęli śmiechem i biegną do ducha, — a z pod białej płachty wyszczerza do nich zęby — i serdecznie się śmieje — kto? — kum Mateusz! — Wszyscy pocieszeni wracają do młyna, pytel kołace, mąka się sypie, a przed koszem — trzymając się pod boki, stoi Mateuszowa i z uśmiechem woła: „Kto nasypie ten miele — powiada nasze przysłowie.“ — Otóż to i straszydło młyńskie! —

Mateusz, filut znany u gromady, wiedząc jaki zajazd we młynie — namówił się z żoną jak kumoszki zabawić i swoję pszeniczkę pierwej wsypać do kosza. Stuczka się udała — i chociaż Mateuszowa najpóźniej do młyna przyszła — najpierwsza z mąką wróciła do domu — ale odtąd w całej wsi nikt w upiory nie wierzył. *J. H.*

Jedna noc z życia przemyślnego lisa.

Już wieczorny zmrok zapada, już od kilku chwil po dziennej wrzawie głucha nastała cisza, cała przyroda zabiera się do nocnego spoczynku; tylko lis z swej nory przezornie za żerem wychodzi. Cały dzień przeczekał on zgłodniały w ukryciu, bo wielkie polowanie odbywające się w lesie, zatrzymało doświadczonego zwierza w najskrytszym zakątku jego siedziby, gdzie jeszcze podczas groźnych strzałów i psów szczekania, widział dla siebie bezpieczeństwo, nawet chociażby i jamnik w przelocie wytropił ślad nieprzyjaciela. Wrzawa polujących przesuwała się po różnych miejscach, w ciągu dnia całego; liczna gromada psów myśliwskich, wyśledziwszy strwożonego jelenia, w najżywszym zapale na wszystkie strony niczem niepowstrzymana, uganiała się w pobliżu zamieszkania naszego lisa. W ogólnem zamieszaniu, nietylko uszedł on baczności nacierających, ale i obiecywał sobie niejakie z tej gonitwy korzyści. Strzały bowiem długo nie ustawały, a wiele zapewne padło zwierzyny, a za ugodzoną psy się rozbiegały po zaroślach i krzakach; kto wie, może też jaki zwierz postrzelony ukrył się szczęśliwie niepostrzeżony, byłby to wtedy wyborny

kąsek dla naszego lisa. Żeby tak jeszcze postrzelonego jelenia można było gdzie wyśledzić! Smakowite to mięso jego i warte poświęcenia dłuższego czasu, na wytropienie śladów zbiegłego rogacza. Nasz lis już od kilku lat nie kosztował tak wybornego pokarmu, świeży więc jelonek jakżeby mu smakował! Ale i sarna i mięsisty zając, pożądanym są zawsze dla niego przysmakiem.

Przezorny lis przetrząsnął las cały, gonił tu za śladem jelenia, tam za sarną, zającem; całemi godzinami z natężonym węchem biegał po całej lasu dzielnicy — ale daremnie. Psy zrobiły swoją powinność, a myśliwym udało się pozbierać i zabrać z sobą ubitego zwierza.

Łowy te trwogi tylko nabawiły lisa, ale z otrzymanego plonu nic dla niego nie pozostało, i sam teraz musiał coś upolować dla siebie. Księżyc świecił wprawdzie, noc wszakże była nieprzyjemna; zimny wiatr jesienny dął przeraźliwie. Lis już wprawdzie dosyć dobre miał futro, bo w czasie lata gęstniał na nim zwolna włos na mroźną zimę, ale w czasie wiatru nie dobrze się poluje, zwierz i w większej odległości łatwo wietrzy swego nieprzyjaciela; tego i lis często zapewne doświadczył. Jeszcze raz przebiegł pod wiatr las cały, — ale i teraz niepomyślnie. Hałaśliwe polowanie obławą wszystkie wypłoszyło zwierzęta; co od kuli nie poległo, to się ratowało ucieczką, a co przez łańcuch naganiaczy szczęśliwie się przebiło i przekradło i w lesie pozostało, to jeszcze z przestrachu nieuspokojone, czuło skradającego się lisa. Sowy i puszczyki smutnie się odzywały, ptaki dzienne czuwały w swych gniazdach, bo po takim dniu trwogi spokojnie zasnąć nie mogły, a las dla samego lisa wielce był niemiły. Wybiegł więc z niego na szeroko otwarte pole w nadziei pomyślniejszego połowu.

Na samej krawędzi lasu spostrzegł zdechłego konia. Czyliżby on padł na polowaniu? Czy nie była to ponęta dla zwierzyny podrzucona? Nasz lis na innem miejscu o mało już nie utracił życia, bo kiedy się wziął do ścierwa, wypalona z zasadzki kula, tuż obok niego w ziemi utkwiła. Nowa chatka, a raczej schronka myśliwska, podejrzenie w naszym lisie wznie-

cała. Obszernym łukiem obiegł podejrzaną chatę, i udał się ku pobliskiej wsi na rabunek, coby się tylko nadarzyło. Zdaleka usłyszał psów szczekanie zbudzonych zapewne zbliżaniem się jakich nocnych wędrowców; z niepewnością przeto, i z niejakiem wahaniem się, zbliżał się ku domom, a po drodze pilnie śledził dogodniejszego łupu. Wtem spotyka łasicę, zwolna i ociężale wracającą do lasu, do syta najadła się ona po wiejskich podwórzach. Dla smagłego złodzieja rzadko jaka szpara za ciasna, rzadko jaka krata za wązka, tak więc łatwy ma przystęp do jaj, i wszelkich dla siebie łakotek. do których grubszy i niezgrabniejszy lis zbliżyć się nie może Zazdrością więc powodowany ku lepiej od natury uposażonemu zwierzęciu, już się do napaści na niego zabiera, lecz na szczęście łasica wcześniej go postrzegła, i do mysiej jamy wcisnęła się czemprędzej. Zapalony gniewem lis, rozkopuje ziemię, aby zbiega pochwycić, ale łasica już u drugiego wyjścia podziemnego ganku wysunęła się znowu dość spiesznie, a wyścignąwszy zajętego burzeniem krętych w podziemiu chodników, szczęśliwie dostała się do lasu.

Jeżeli komu użyteczna nie uda się praca, to zapewne czeka go zmartwienie, lecz jeźli niegodziwy zamiar zawiedzie, wtedy wszelkie udaremnione zabiegi tem więcej udręczą. Dobry w doznanej nawet niesprawiedliwości znajduje pociechę, zły zaś daremne widząc usiłowania w wyrządzeniu krzywdy drugiemu, wybucha w gniew, któren w sercu jego, jak gorejący węgiel zarzy się w popiele.

Z iskrzącemi oczyma odwraca się teraz lis, od rozszerzonego z pracą otworu, lecz gdy tymczasem węch nic mu pewnego ze śladów łasicy nie wskazuje, do wsi znowu zawraca. Wtem niezadługo na polu w zapóźno dojrzałej pszenicy postrzega tchórza na stanowisku. Krwiożerczy ten zwierz czychał na skrzeczka, który wychyliwszy głowę ze swojej nory, rozglądał się na około, czyliby mógł bezpiecznie garstkę zboża zanieść da swojej komory. Tak znowu kto inny uprzedził lisa, a więc znaglony był udać się do zabudowań gospodarskich. Psy zapewne zaniepokojone pierwej bytnością łasicy i tchórza

i innych jeszcze burzycieli spokoju rozbudzone, teraz dopiero wszystkie ucichły, najpodobniej z utrudzenia na nocnej stróży.

Lis skrada się ku podwórzom, nadsłuchuje, czatuje przy wszystkich płotach i wącha po wszystkich zamkniętych drzwiach. Za ostatniem podwórzem błyska i gaśnie słabe światełko. Tam są ludzie w ruchu, wśród nocy skradają się z ślepą latarką, z cicha szeptając ze sobą. To złodzieje! Lis przyczaił się do płotu żywego, i pilnie zwracał oczy na oddalających się z pełnemi workami ludzi. Gdy już odeszli, i wszędzie znowu cisza nastała, i już węchem nie poczuł obecności człowieka, wtedy coraz się bliżej zakradał. Tylne drzwi podwórza stały wprawdzie otworem, ale pies leżał przy nich nieporuszony. Nie żywy; złodzieje go otruli. Śmiało więc przeskoczył lis martwe ciało nieprzyjaciela, wbiegł szybko na podwórze, na wpół otwartemi od zabudowań gospodarskich drzwiami wpadł bez namysłu, i po kilku zręcznych skokach wysunął się w górę i między zaspanym na grzędach drobiem krwawe roznosząc pożogi, chwyta nareszcie najtuczniejszą kurę, i zbiega z nią na podwórze, ale tymczasem zastał drzwi przeciągiem wiatru zawarte, na krzyk wtedy kur i koguta wzywających pomocy, konie zaczęły tupać nogami, bydło ryczeć, przebudzony parobek zrywa się, sam gospodarz rozbudzony biegnie do okna, a stróż nocny w bliskości domu zabrzmiał na swoim rogu. Wtedy przerażony lis, opuszcza swą zdobycz, wskakuje na stos drzewa, a z niego przez ogrodzenie dostaje się na pole otwarte, i prosto ku lasowi podąża. Twardy to kawałek chleba kradzieżą nabyty, stracić go na drodze z goryczą przychodzi.

Lis znowu staje przy krańcu lasu, zkąd go na nowo mocny zapach ścierwa końskiego zalatuje. Głód wzmaga jego pożądliwość. Zapomina o wszelkiej przezorności i rzuca się z chciwością do żeru. Nagle pada strzał z chaty myśliwskiej; lis drgnął jakby piorunem rażony, potoczył się w boleści z zamglonemi oczami jeszcze parę kroków, i padł bez życia. Strzelec zbliża się ku niemu, podnosi go i z pierwszem zaraniem do wsi pospiesza. W drodze spotyka dwóch ludzi trwożliwie zbaczających z gościńca bez widocznego powodu. Woła na nich —

oni zaś biorą się do ucieczki. Stój! zakrzyknie, bo strzelę! Na to wezwanie zrzucają z swoich ramion brzemiona, i jeszcze prędzej uciekają. Wtedy strzał daje się słyszeć, a jeden ze zbiegów pochyla się i pada. To jeden ze złodziei, którzy cokolwiek wolniej od lisa ku lasowi podążali; z tych drugiego wszakże ludzie ze wsi w szybkiej pogoni szczęśliwie schwycili.

Praca we dnie, często w upał słoneczny w pocie czoła dopełniana, nieraz wydaje się bardzo uciążliwa, ale nocna wyprawa bardzo smutne za sobą pociąga skutki; uznojona praca dzienna jest słodką w porównaniu z trwogą doznawaną w nocy przy spełnianiu hańbiącego uczynku. W dniu jasnym człowiek wprawdzie przy ciężkiej pracy oblewa się potem, ale żartuje przy niej, śmieje się i śpiewa nawet, pracuje otwarcie i wesoło; w nocy zaś przy czynie niegodziwym, czoło z niespokojności pełnej obawy, potem jest uroszone; w piersiach oddech się tłumi jak w życia niebezpieczeństwie. Pot strachem wywołany, jest potem śmiertelnym.

Czyliż więc trudny jest wybór, między potem z uczciwej pracy, a potem z obawy i trwogi z niecnego czynu pochodzącym? *Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.*

Psia wiśnia.

Temi dniami jakiś włościanin przyniósł do Lwowa znaczniejszą ilość jagód czarnych, podobnych do wiśni i rozsprzedał je bardzo tanio pomiędzy uboższymi żydami i chrześciańskimi wyrobnikami. Po zjedzeniu tych jagód rozchorowało się niebezpiecznie 26 osób rozmaitego wieku. Przyzwani lekarze poznali zaraz, że choroba pochodzi z otrucia. Jakoż owe jagody były to owoce psiej wiśni, zwane pospolicie psianki, które są wielce szkodliwą trucizną. Ponieważ, jak się i z wypadku we Lwowie pokazuje, roślina ta nie każdemu jest znana, nie od rzeczy będzie podać także czytelnikom Dzwonka bliższą o niej wiadomość.

Psia wiśnia, zwana także **wilczą jagodą** lub **pokrzykiem** rośnie w całej Europie, mianowicie w lasach liściowych, górzystych, wilgotnych, na korczowiskach, na rumowisku i gnojach. Korzeń jest długotrwały, gałęzisty, kilka stóp długi,

często grubości pięści, i wypuszcza co rok jednę lub kilka łodyg, które w jesieni usychają, a w lasach cienistych tworzą często krzak do 5 stóp wysokości mający, bujnie okryty wielkiemi liśćmi i dość wielkiemi kwiaty. Kwiaty te są ciemno fioletowe, wewnątrz przy spodzie brudno zielono żółte, z brunatnemi żyłkami.

Jagody są podobne do wiśni, okrągłe, nieco spłaszczone, z początku zielone, potem czerwone, nakoniec prawie czarne i połyskujące, z czerwonym sokiem i pełne małych ziarnek. Psia wiśnia kwitnie od czerwca do października; jagody zaczynają dojrzewać w lipcu.

Roślina ta za świeża, roztarta w palcach wydaje zapach odurzający, smak ma gorzki. Sucha, jest prawie bez żadnego zapachu, smak ma gorzkawy, nieco ostry.

Jagody, które mają zapach odurzający, są smaku słodko kwaskowatego, nieco ostrego, potem piekącego.

Wszystkie części tej rośliny są bardzo jadowite. Jednak świniom, owcom, kozom, królikom nie szkodzi wcale, przeciwnie bardzo szkodliwą jest ta roślina bydłu rogatemu, koniom, psom i kotom.

Dorosły człowiek może zjeść trzy i cztery jagody bez żadnego skutku, ale ktoby zjadł więcej, otruć się może, a czasem i jedna jagoda zaszkodzi.

Żadną z naszych roślin jadowitych nie trują się ludzie tak często jak tą, zwłaszcza dzieci i osoby niedoświadczone uwiedzione podobieństwem jej jagód do wiśni.

Zdarza się często, że kury zdechają nagle niewiedzieć z czego, a nieraz bywa tego przyczyną, na co zwykle nie zwracamy uwagi, że jedzą młode liście i jagody psiej wiśni na śmieciskach rosnącej.

Otrucie psią wiśnią pociąga za sobą następujące skutki: wielka suchość w ustach i gardle, kurczowe ściąganie się gardzieli, pieczenie w niej, ból przy połykaniu, wielkie pragnienie, wymioty lub nudności; na twarz występują mocne rumieńce, czasem i całe ciało staje się mocno czerwone, wargi sinieją, choremu ćmi się w oczach i stają mu iskry, widzi dwa razy każdy przedmiot lub nic zgoła nie widzi, nie może znieść światła; głowa się zawraca; chory popada w odurzenie i senność, nie może mówić ani chodzić, zatacza się, następuje porażenie członków, częste drgania szczególnie twarzy, rąk i nóg, kurcz w podbródku i t. d.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.